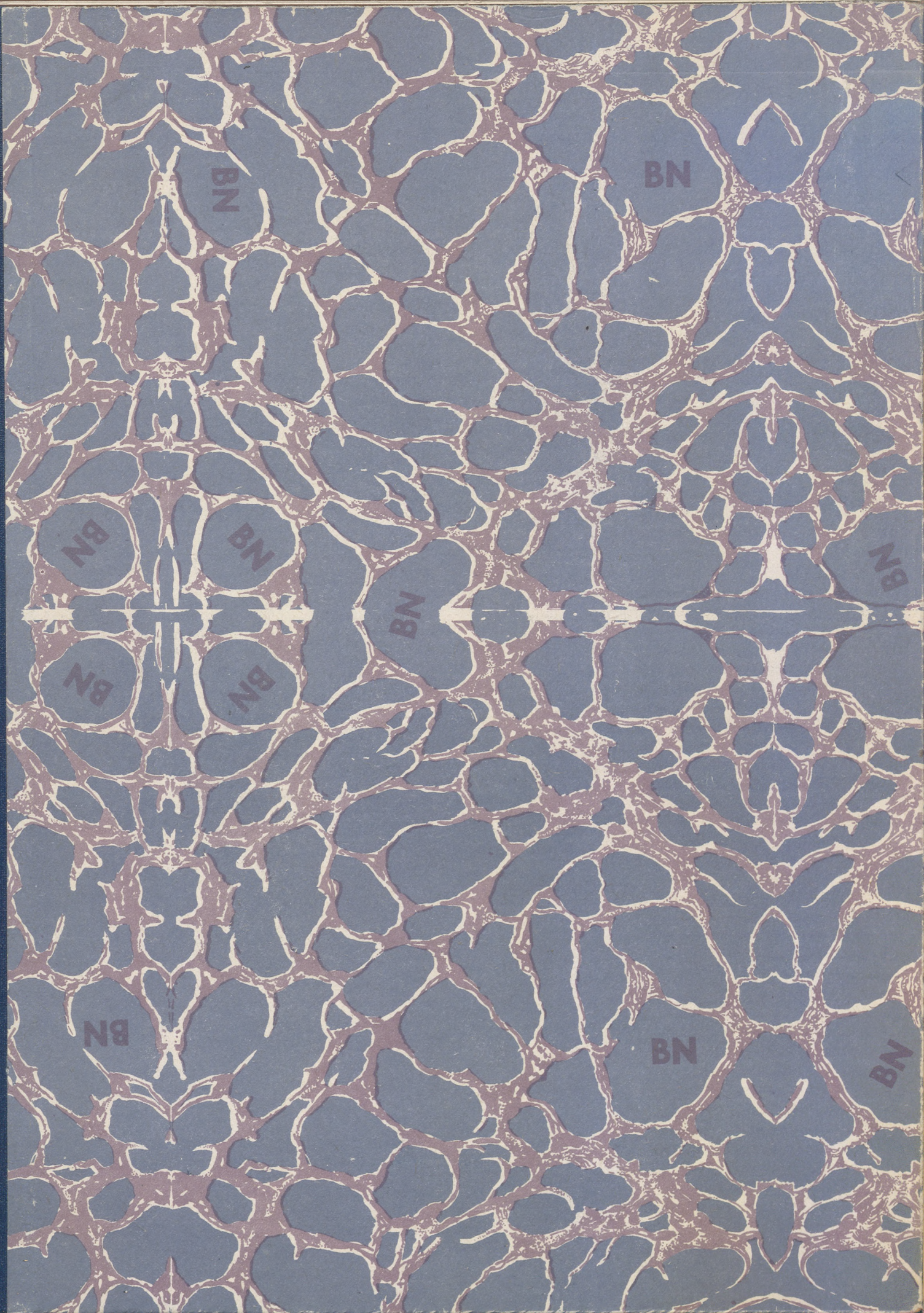


35

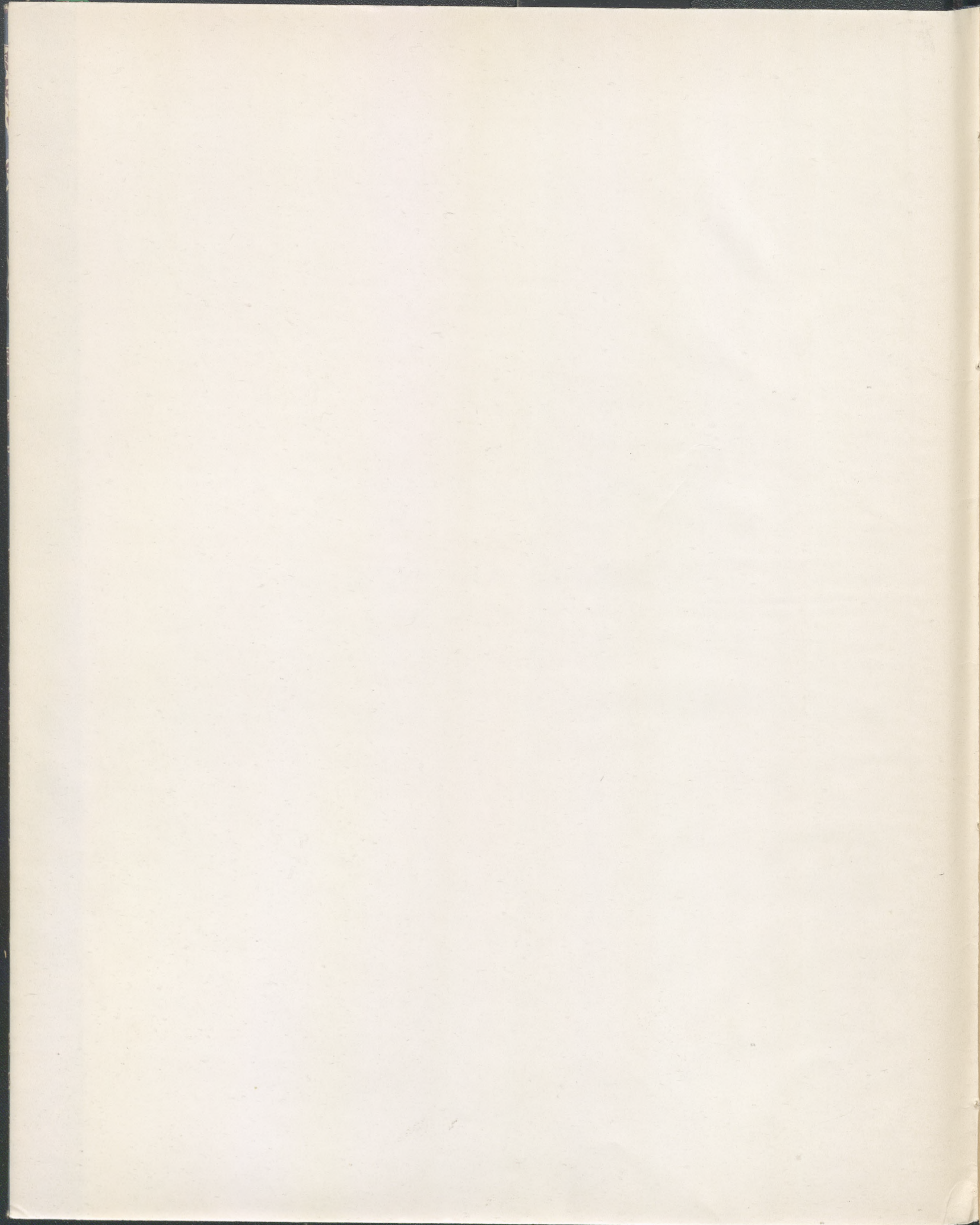
623405





This page is blank and contains no text or other markings.





III 623.405

Nr. 35.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

GWIAZDA POLARNA





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Gwiazda polarna

Więzień, który nie chce wolności

Sprawa siedmioramiennej gwiazdy, w której wielki talent i genialna intuicja znakomitego detektywa Harry Dicksona zabłysła w całej pełni, sprawa ta tak tajemnicza i dziwna — zaczęła się również od faktu niezwykłego: od włamania do więzienia.

Oto fakty:

W ostatnich dniach miesiąca marca roku 19... Tymoteusz Soames kończył w więzieniu w Pentonville karę sześciu miesięcy pozbawienia wolności. Soames był więźniem przykładowym i cichego usposobienia. Groźnym przestępcą nie był, to też, gdy lekarz stwierdził zły stan jego zdrowia — zwolniono go przedterminowo. Do całkowitego odcierpienia kary brakowało Soamesowi jeszcze dwóch miesięcy pobytu w celi. Jak każą przepisy — więzień został powiadomiony o tym akcie łaski dopiero w ostatniej chwili.

Był właśnie na codziennej przechadzce na dziedzińcu, gdy podszedł do niego dozorca i wezwał do kancelarii dyrektora.

Zastępca naczelnika więzienia podał mu do wiadomości dobrą nowinę.

— Jest pan woźny! — rzekł wice-dyrektor w Pentonville.

W składnicy wydano mu ubranie, inny dozorca wręczył mu za pokwitowaniem rzeczy, jakie miał w celi i po kwadransie od chwili, gdy opuścił gabinet naczelnika — ujrzał Soames otwierające się przed nim ciężkie wrota więzienia.

Zaznaczamy odrazu, że Soames do swej celi już nie zaglądał. Wprost z dziedzińca, po przechadzce, przebywając tylko w kilku pomieszczeniach służbowych — wyszedł na wolność.

Strażnik przy bramie — powiedział mu kilka życziwych słów, ale Soames nie odpowiedział mu. Był zamysłony i jakby zatruwiony. Uszedł kilka kroków — obejrzał się, jakby się namyślał, czy nie wrócić, ale potem machnął ręką i ruszył przed siebie.

Kim był Soames i jakie było jego przestępstwo, które go zaprowadziło do więzienia?

Podobnie jak tysiące i setki tysięcy innych,

był Soames urzędnikiem w jednym z biur handlowych w centrum Londynu.

Pewnego wieczora, gdy pił herbatę w skromnej kawiarni na Holborn Street — od sąsiedniego stolika zerwała się nagle jakaś dama i podniosła alarm, glosząc, że skradziono jej kolbę brylantową.

Drzwi kawiarni zostały niezwłocznie zamknięte, a wezwana policja dokonała szczegółowej rewizji osobistej wśród wszystkich obecnych. Kolba została znaleziona w kieszeni Tymoteusza Soamesa.

Cherlawy, ryży człowieczek nie bronił się, nie tłumaczył i nie próbował udzielić jakiegokolwiek wyjaśnienia. Zrezygnował nawet z pomocy adwokata z urzędu i z w toku rozprawy był również milczący. Wyrok skazujący go na sześć miesięcy więzienia przyjął oskarżony z westchnieniem ulgi.

Wspominaliśmy już, że Soames był więźniem wzorowym. To też poza licznymi drobnymi przywilejami, których mu nie szczędzono, był często wzywany do kancelarii, gdzie powierzano mu rozmaite prace. Pobyt tego człowieka w więzieniu, który i celę miał lepszą i wikt nieco obfitszy, był niewątpliwie znośny. Wreszcie, gdy się okazało, że jego słabe zdrowie i w tych warunkach szwankuje, dyrektor wystąpił do swych władz przełożonych z wnioskiem o przedterminowe zwolnienie Soamesa i wniosek ten został zaaprobowany.

W owych czasach więzienie w Pentonville było przepelnione i dyrekcja lokowała w celi jednoosobowej często trzech ludzi. W dniu, w którym Soames wyszedł z więzienia, jego cela była wolna tylko przez niespełną godzinę. Więzień Belkirk, stary wyga wszystkich zakładów penitencjarnych w Anglii, recydywista, posiadający za sobą dwaście wyroków za najrozmaitsze przestępstwa, został po Soamesie osadzony w tej samej celi.

Po tych koniecznych omówieniach wstępnych — możemy już wyłożyć fakty wrecz niezwykle, jakie się rozegrały w więzieniu w Pentonville.

O godzinie 8 wieczorem dozorca Prater objął służbę nocną.

Prater miał pieczę nad skrzydłem B — w którym znajdowała się cela 137 — właśnie ta, w której zamknięty był przedtem Soames a potem Belkirk.

O godzinie dziewiątej pogaszono światła. Przegląd każdej celi z osobna rozpoczynał się punktualnie o godzinie dziesiątej.

Przeгляд ów polegał na tym, że dozorczy, zaopatrzeni w latarki, przez otwory we drzwiach kierując światło w głąb celi, sprawdzali, czy wszystko jest w porządku.

Zaznaczyć należy, że Prater, jako należący w owym tygodniu do zmiany nocnej, nie wiedział wcale o zwolnieniu Soamesa. Prater powinien był jednak o tym wiedzieć, gdyż tablica z notowaniami zmian zaszłych w celach wisi w dyżurce dozorców. Jednak Prater nie oglądał tablicy. Przyznał się do tego bez wahania. Przyznał się potem również gdy był kilkakrotnie przesłuchiwany przez swe władze zwierzchnie i przez inne osoby.

Około godziny 9-ej minut 20 Prater usłyszał jakiś szmery, dochodzące go od strony skrzydła B. Szmery te skłoniły go do rozpoczęcia obchodu nie o godzinie 10-ej lecz właśnie o czterdzieści minut wcześniej.

Wcześniej tedy niż zamierzał i niż mu nakazują obowiązki służby, znalazł się Prater przy celi 137, odchylił okienko i rzucił w głąb celi promień światła ze swej latarki.

Dozorca ujrzał Soamesa stojącego obok swego łóżka. Nie zdziwił się temu zupełnie, gdyż nie wiedział nic o jego zwolnieniu.

Na pytanie dlaczego nie śpi, Soames odparł, że czuje się źle. Praterowi odpowiedź ta wystarczyła. Zalecił więźniowi, aby mimo wszystko, jak najszybciej położył się spać, i poszedł dalej.

Drugi obchód odbywał się o godzinie 2 po północy. Prater obszedł swe cele i obejrzał je ze zwykłą sobie dokładnością.

Otworzywszy okienko w drzwiach celi 137, Prater zagadnął więźnia, czy się czuje lepiej. Odpowiedzi nie dosłyszał. Ponieważ wiedział jednak, że Soames korzysta ze względów dyrektora i że więzień jest słabego zdrowia — Prater kilkakrotnie powtórzył swe pytanie i z powodu uporczywego milczenia więźnia — zaniepokoił się poważnie.

Ponieważ przez okienko nie mógł dojrzeć twarzy i nie mógł w ten sposób ustalić, czy więzień jest zdrow — próbował go Prater za wszelką cenę rozbudzić.

Zaniepokojony wreszcie poważnie już nie o więźnia, ale o porządek w podległym mu skrzydle — Prater zameldował o wszystkim starszemu dozorczy.

Otworzyć drzwi celi ma prawo w nocy i w wypadkach specjalnych tylko zastępca naczelnika więzienia.

Starszy dozorca niezwłocznie zatelefonował do zastępcy naczelnika i otrzymał odpowiedź, która wprowadziła go w zdumienie.

— Kto śpi jak zabity, Soames? Zwarjował pan? Soames jest od rana na wolności!

— To wykluczone! — krzyknął Prater, gdy mu jego bezpośredni zwierzchnik powtórzył słowa wice-dyrektora. — Rozmawiałem z Soamesem o godzinie 9 wieczór.

— Balkirk jest w celi, nie Soames.

Prater począł się śmiać.

— Ja miałbym nie znać Balkirka?... Wielki chłop, czarny jak smoła, stary bywalec wszystkich więzień. A Soames jest przecież mały i ryły. Przecież znam ich obu i oczy mam dobre.

Prater obstawał przy swoim. Wice-dyrektor wiedział również co mówi.

Wreszcie zaintrygowany tym wszystkim, zastępca naczelnika więzienia postanowił rzecz zbadać osobiście.

Przybiegł na miejsce, kazał otworzyć cele i obrócił śpiącego twarzą do poduszki w ten sposób, aby mu się można było dokładnie przyjrzeć.

Nie było wątpliwości. Śpiącym był Balkirk. Balkirk spał jednak snem doprawdy kamiennym; nie obudził się, mimo, że nim obracano jak kłodą drewna. Oczywiście, że Prater usłyszał wiele gorzkich słów. Rozgniewany zastępca dyrektora kazał mu się nazajutrz stawić do samego naczelnika.

Prater nie dał się zbić z tropu, choć oczywiście nie przestawał się dziwić temu wszystkiemu, co zaszło.

— Przysięgam, — powtórzył, — że o godzinie 9,20 wieczór widziałem na własne oczy Tima Soamesa. To samo twierdził Prater, i to z wielkim uporem, wobec swych kolegów.

O świcie, gdy była już pobudka — inny dozorca przybiegł do starszego dozorczy z meldunkiem, że nr. 137 śpi i nie chce się obudzić.

Po godzinie w celi nr. 137 był już lekarz. Badanie nie trwało długo.

— Co się tu stało! — wołał doktor. — Przecież ten człowiek został uspiiony jakimś silnym narkotykiem, jakimś środkiem bardzo lotnym i działającym przez zwykłe powąchanie go. Ma jeszcze na kilka godzin. Niech śpi. I tak się go wcześniej nie da obudzić.

W więzieniu została cała służba postawiona na nogi.

Przed wszystkim sam dyrektor poprosił lekarza, aby jeszcze raz zbadał więźnia i sprawdził, czy nie z innych bardziej naturalnych przyczyn Balkirk śpi tak mocno.

Ale lekarz był stanowczy. Badanie powtórzył, bo nie mógł odmówić żądaniu dyrektora, stwierdził jednak, że omyłka jest wykluczona i że więzień został uspiiony. Prawda, dokładne oględziny całego ciała Balkirka doprowadziły do ustalenia, że został on może początkowo odurzony tylko środkiem nasennym i że następnie zaaplikowano mu dwa zastrzyki. Ślady zastrzyków były zupełnie widoczne.

Zastępca dyrektora, podczas dyżuru, którego zaszło ów niezrozumiały i zagadkowy wypadek był człowiekiem młodym i energicznym, a ponadto doskonale ustosunkowanym. Znał również osobiście najznakomitszego detektywa Anglii — Harry Dicksona.

To też po dwóch godzinach od tych ustaleń — Dicksonowi złożył wizytę w jego mieszkaniu przy Baker Street jeden z wyższych dygnitarzy ze służby więziennictwa. Znakomity detektyw zgodził się zbadać tę sprawę.

O godzinie dziesiątej rano Harry Dickson i jego uczeń Tom Wills zostali przyjęci przez dyrektora więzienia w Pentonville, który zaprowadził ich do celi nr. 137 w chwili, gdy Balkirk dawał pierwsze znaki życia.

Silna odtrutka zrobiła swoje. Balkirk siadł na pryczy i zdziwionym okiem powiódł po obecnych.

— Co jest! — krzyknął więzień. — Przecież na śmierć nie skazałi mnie, żeby się tutaj tyle narodu zebrało. Osiem dni mam jeszcze do siedzenia. Pobitem konstabla — nie innego nie zrobiłem.

— Tak jest! — uspokoił go Dickson. — Tylko proszę nam powiedzieć co się z wami działo od chwili gdyście się tutaj znaleźli.

— Co się ze mną działo? A co się niby dziać miało? Nic się nie działo. Położyłem się spać i spałem bardzo dobrze. Bardzo wygodna prycza. Moje uznanie dla dyrekcji!

— Wszystko to pięknie, ale proszę sobie dobrze przypomnieć, czy nic innego się nie działo.

— Kiedy powiadam, że nic się nie działo.

— Nic, zupełnie nic?

— Zaraz.. zaraz. — Więzień czynił widoczne wysiłki pamięci. — Tak nie wolno. Poskarżę się w dyrekcji.

— Co takiego? O co wam chodzi?

— Tak mi się wydaje, jakby któryś z dozorców wlaźł do mnie i mi dał jednego w bok. Nie wolno bić! Poskarżę się!

— I co dalej?

— To dalej, że ten dozorca dał mi jednego w bok i potem zaraz poprawił drugim w cyferblat. To nie dosyć? To skandal! Poskarżę się.

— Więcej nic nie pamiętacie?

— Nie. Jakem dostał, to upadłem... Tyle wiem. Istotnie nic więcej wydobyć się z niego nie udało.

— Przesłuchamy teraz dozorcę Pratera, — rzekł detektyw.

Prater, rad, że sprawa przybiera dla niego obrót korzystny, stanął na baczność.

— Sir! — rzekł.

— Słucham pana.

— Słyszał pan jakieś szmery czy hałasy wieczorem, czy tak?

— Tak jest.

— Która to była godzina?

Prater był pewien siebie i odparł bez wahania.

— Było po dziewiątej najwyżej minut dwadzieścia. Hałasy dochodziły ze skrzydła B, z mojego skrzydła.

— Co to były za hałasy? Czy to były szmery tylko, czy głośniejsze hałasy?

Prater zmarszczył czoło.

— Raczej hałasy, niż szmery. Słyszałem, jak drzwi gdzieś trzasnęły.

Dickson natychmiast poddał oględzinom zamek u celi nr. 137.

— Słusznie. Ktoś tu pracował podrobionym kluczem. Podrobionym, ale niezupełnie właściwym. Poznać to po zamku.

— Skrzydło B... — począł Prater.

— Skrzydło B, — podjął detektyw, — prowadzi do galerii, przez jedne jedyne drzwi, w końcu korytarza. Czy tak?

— Tak jest, Sir. To właśnie chciałem powiedzieć.

— W takim razie zamek u tych drzwi też został otwarty podrobionym kluczem. To rzecz jasna. Ale w jaki sposób dostał się włamywacz na dziedziniec więzienny?

— Wejścia nikt nie pilnuje. My tylko czuwamy, żeby nikt nie wychodził z więzienia. Wejść jest o wiele łatwiej.

— Słusznie.

— A z dziedzińca wejść na klatkę schodową do skrzydła B — to rzecz łatwa. Znow tylko wyjść jest trudno.

— Zgadza się z tym zupełnie — rzekł Dickson. — Musimy zatem przyjąć, że Soames pod wieczór wrócił do więzienia. Najważniejszą jest teraz rzeczą dla czego wrócił i poco? Musiał czegoś za-

pomnieć. Czy po jego wyjściu została cęła uprzągnięta?

Na to pytanie odpowiedział naczelnik straży:

— Cęła została doprowadzona do całkowitego porządku. Sam tego doglądałem. A rzeczy Soamesa ja sam zdałem w kancelarii.

— Co to były za rzeczy?

— Nie było ich wiele: trzy książki do czytania, fajka, paczka tytoniu. Inne rzeczy znajdowały się w depozycie, w magazynie.

— Musimy jeszcze raz jak najdokładniej zbadać tę cęłę, — zdecydował detektyw.

Oględziny, choć dokonane ze skrupulatnością — nie dały rezultatu.

Balkirk, rozbudzony już całkowicie, przyglądał się w zdumieniu krzątającym się po jego celi ludzom.

— To i tak bywa? — dziwił się Balkirk. — Znalazł się taki gość, co tutaj wrócił? To ciekawą jegomość. Bardzobym chciał się z nim zobaczyć. Przede wszystkim oddałbym mu, co mu jestem winien. Pokazałbym mu, że mam pięści jak się należy...

— Balkirk — zwrócił się nagle detektyw. — Czyście tutaj nic nie znaleźli?

— A co niby miałbym znaleźć? Pchły nawet nie znalazłem. Tak czysto jest w tej celi.

Detektyw spojrział w oczy temu zawodowemu przestępcy. Nie wiele z nich mógł wyczytać. Trzeba było zrezygnować. Rewizja, jak wspominaliśmy, rezultatów nie dała.

Po tych oględzinach detektyw skierował się wprost na Standard Street, gdzie mieszkał Soames.

Okazało się, że były więzień mieszkał tam w umeblowanym pokoju zaledwie dwa miesiące i że obecnie w tym samym pokoju mieszka już ktoś inny. Od chwili zwolnienia Soames w swym dawnym mieszkaniu się nie pokazał.

Sama sprawa Soamesa nie wzbudziła w pierwszej fazie wielkiego zainteresowania ze strony Scotland Yardu. W kartotece założone zostały dopiero teraz akta Soamesa. Figurował w nich zapissek, z którego wynikało, że Soames sam się przyznał do kradzieży kolii. Podał ponadto, że pracuje w City, w firmie „Hallet et Co.“ przy Broad Street.

Detektyw udał się sam na Broad Street i obszedł ją całą po obu stronach. Nie było takiej firmy, przy tej ulicy nigdy.

Soames stawał się postacią coraz bardziej tajemniczą.

— Ta okoliczność zajmuje mnie mocno, — zwierzył się detektyw swemu uczniowi. Ale będziemy musieli przeczekać conajmniej z tydzień. Dlatego, że Balkirk zostanie po tygodniu zwolniony. Gdy mi mówił, że nic nie znalazł w swej celi — kłamał.

— Cóż miał znaleźć, mistrzu?

— Gdybym na to pytanie umiał odpowiedzieć — wiedziałbym wszystko, mój drogi.

— Musiała to być rzecz bardzo mała, skoro jej nie znaleźli przy sprzątanu.

— Oczywiście. I musiała być bardzo cenna, jeśli tylko dla niej wrócił Soames do więzienia.

— Dlaczego wrócił? Czyżby miał ją zapomnieć?

— Gdzie logika, Tomku?... Nie zapomina się rzeczy cennej, bardzo cennej nawet. Ale może być jaka sytuacja, zwłaszcza, gdy się jest więźniem, że nie można danej rzeczy ze sobą zabrać, albo nie można nawet wydobyć jej z ukrycia. Tak musiało być z Soamesem.

— Więc, gdy Balkirk wyjdzie....

— Będzie miał pewnego dyskretnego towarzysza... Człowieka młodego jeszcze, trochę czasami za bardzo gadatliwego, do którego jednak Harry Dickson ma niczym nie umotywowaną słabość.

Tom uśmiechnął się:

— Słabość, polegająca na wzajemności. Poczekajmy zatem tydzień. Balkirk powinien nam przynieść klucz zagadki.

— Tak jest.

Detektyw zapalił fajkę, rad, że ma chwilę wytchnienia.

Biały niedźwiedź

Balkirk westchnął głęboko raz i drugi... Jak mile jest odetchnąć świeżym powietrzem po opuszczeniu celi..

Pogoda nie była wcale piękna. Nad miastem snuły się mgły i było dżdżysto.

Zwolniony więzień otulił się mocniej w swe wytarte paletko i ruszył rażnym krokiem przed siebie.

Wahał się przez chwilę, czy wsiąść do autobusu, który zatrzymał się na bliskim przystanku, zdecydował się wreszcie, podbiegł do ruszającego pojazdu i skoczył na platformę. Z przyjemnością jechał przez wielkie miasto i napawał się jego kipiącym życiem.

W okolicy Southwark-Park Balkirk wysiadł. Zmierzał do zajazdu pod „Dwunastu Podróżnymi“. Nie oglądał się za siebie i nie zauważył młodego człowieka, który ódziany w mundur majtka, wszedł tuż za nim do oberży.

W oberży tej nie był Balkirk znany i nawet nie wiedział w pierwszej chwili dokąd się skierować. Zasiadł w pierwszym pokoju, niedaleko bufetu i zamówił sobie omlet z szynką.

Młody człowiek przez chwilę rozglądał się po lokalu, wszedł nawet do dalszych pokoi i wrócił wreszcie do pierwszego, aby zamówić wędliny i zimną pieczeń.

Balkirk iadł z widocznym zadowoleniem, popijając ciemnym piwem.

Młody człowiek, w którym mimo przebrania, rozpoznaliśmy już Toma Willsa, był nieco zaniepokojony.

Czy Balkirk czekał tutaj na kogoś... Nic o tym nie świadczyło. A przecież mistrz powtarzał Tomowi kilkakrotnie:

— Pamiętaj, miej oczy otwarte. Bardzo być może, że Balkirkowi będzie ktoś deptał po piętach już od chwili jego wyjścia z więzienia. Ów ktoś zdziwi się mocno, gdy stwierdzi, że i ty śledzisz Balkirka i — oczywista — będzie i ciebie miał na uwadze. W ten sposób, gdybyś został przez tamtego trzeciego odkryty — mielibyśmy wiele przykrości i sprawa zostałaby pokpiona już na samym wstępie. Rzecz, którą ktoś znalazł w celi, zajmowanej poprzednio przez Tima Soamesa interesuje napewno całą grupę ludzi.

Tak mówił Harry Dickson.

Tom odparł mu wtedy nie bez racji:

— A dlaczego miał sam Soames nie odnaleźć tej rzeczy, gdy był w więzieniu za drugim powrotem?

Na to pytanie odpowiedział mu mistrz z uśmiechem:

— Zastrzyki świadczą że Soames tej rzeczy nie znalazł. Zastrzyki, zaaplikowane naszemu kochanemu Mr. Balkirkowi. Uważaj, — ciągnął detektyw: — Najpierw Soames dał Balkirkowi do powąchania chusteczkę, przesiąkniętą jakimś płynem odurzającym. Był przekonany, że krótkie odurzenie wystarczy, aby tę rzecz znaleźć...

— Ale jej nie znalazł i wtedy dał mu zastrzyki — rzucił Tom.

Mistrz skarcił go palcem:

— Za bardzo się spieszysz. Najpierw, gdy się przekonał, że tej rzeczy na dawnym miejscu nie ma — zaaplikował mu jeden zastrzyk. Szukał dalej gorączkowo i gdy sądził, że dawka z jednego zastrzyku nie starczy — jeszcze raz mu zadał środek nasenny, znów drogą zastrzyku.

— Dlaczego by nie miał wtedy znaleźć, gdy tamten spał już snem kamiennym, zapowiadającym się na długie godziny?

— Nie znalazł, bo nie mógł szukać. Zjawił się Prater. Poznał Soamesa. To go na chwilę uspokoiło. Ale dalsze pozostawanie w celi było dla Soamesa bardzo ryzykowne... A nuż Prater zgada się z którymś z kolegów i dowie się, że Soames już od wielu godzin był na wolności?... I dlatego Soames wolał wycofać się z tej bardzo niepewnej sytuacji w czasie jak najkrótszym. Zresztą Balkirk, gdy mówił, że nic nie znalazł — kłamał. Pozostaw to już memu znawstwu ludzi, Tomku.

Tom nie ustępował:

— I trzeba było w takim razie poddać szanownego Balkirka dokładnej rewizji.

— Jak sobie tę rewizję wyobrażasz, mój kochany? Stary wyga tego rodzaju co Balkirk, potrafi ukryć zwłaszcza rzecz drobną w ten sposób, że jej nie znajdziesz w żaden sposób. Zresztą — może to nie był wcale przedmiot, który trzeba było schować. Może to tylko jakaś informacja jakiegoś słowa o specjalnym znaczeniu, jakiegoś hasła? To też lepiej — zakończył Dickson, — gdy go będziemy śledzili. Prędzej może dojdziemy tą drogą do czegoś, niżbyśmy go mieli spłoszyć rewizją.

Te słowa swego mistrza przypominał sobie Tom Wills, gdy spożywał zimną pieczeń i ukradkiem przyglądał się Balkirkowi.

Rychło trudy jego były wynagrodzone. Oto Balkirk odsunął talerz i zażądał znów piwa.

Czekając na napój — ten zatwardziały złodziej, awanturnik i włamywacz, spoglądał marzącym okiem w okno i coś mówił do siebie. Powtarzał jakieś słowa, jakby recytował wiersze.

Balkirk — miłośnikiem poezji?... Balkirk marzycielem?...

Tom nie wierzył własnym uszom. Ale nagle Tom zrozumiał:

Balkirk uczył się czegoś na pamięć! Widać było, że nie przywykł do tego rodzaju spędzania czasu gdyż marszczył czoło i mamrotał jakieś słowa bez przerwy w kółko.

Nareszcie zwolniony więzień jakby był zadowolony ze siebie, przestał poruszać wargami i pomrukiwać, zatarł ręce i wypił duszkiem resztę piwa w kufku. Po chwili zamówił już trzeci kufel.

Aby nie wzbudzać w obiekcie swych obserwacji podejrzeń — Tom zapłacił i wyszedł, loku-

jąc się naprzeciwko w niszy bramy. Był to punkt obserwacyjny doprawdy wymarzony.

Minęły pełne dwie godziny, gdy wreszcie były więzień opuścić lokal i ruszył ku miastu krokiem, świadczącym o obfitej libacji.

Balkirk skierował się ku stacji kolei podziemnej, wszedł do wozu w kierunku Covent — Garden i koło Covent — Garden wyszedł na ulicę.

Pogoda psuła się stale. Dał teraz wiatr i deszcz poczynił już zacinać.

Widać było, że Balkirk nie zna tej okolicy. Rozglądał się wokół jak człowiek, który jest w zupełnie obcych dla siebie stronach, podchodził do murów na rogach i czytał nazwy ulic.

Chwilami Balkirk kłął siarczyście, zmieniał kierunek i szedł w inną stronę. W ten sposób zmiętrzył pod deszczem i na chłodze blisko godzinę.

Tom krążył również po licznych uliczkach w dzielnicy niewątpliwie mocno ożywionej za dnia, ale niemal wymarłej już od wieczora. Mieściły się bowiem w tej dzielnicy wielkie składy i magazyny hurtowni kolonialnych.

Tom, choć znał i tę część wielkiego miasta rodzinnego, czuł się jak zgubiony w chwili, gdy idąc za Balkirkiem wszedł wreszcie w jakiś ciemny zupełnie i kręty zaułek, nie posiadający nazwy i pozbawiony zupełnie domów mieszkalnych. Stały tam tylko szopy, szpichrze i magazyny.

Tom, trzymając się murów i płotów zdołał pozostać w cieniu. Balkirk go nie widział.

Naprzeciwko był mur z szarego kamienia. Przed nim zatrzymał się zwolniony więzień. Stał przez długą chwilę i rozmyślał nad czymś głęboko.

Wreszcie śnać Balkirk coś zdecydował, gdyż wyprostował z kieszeni jakby kawałek sznurka. Wyprostował go i zmierzył na ramieniu. Sznurek mógł mieć długość najwyżej łokcia.

Teraz Balkirk zajął się jakimś bardzo dziwnymi pomiarami.

Wyprostował sznurek w dłoniach, podszedł do muru i długo mu się przyglądał. Wybrał wreszcie miejsce odpowiednie, przyłożył dłoń, u fundamentu muru dolny koniec sznurka i — jakby mierzył wysokość — odłożył na murze, dokładnie w kierunku pionowym półtory długości szpagatu. Naznaczył odpowiednie miejsce szczytykiem, który wyjął z kieszeni, zdrapawszy nim nieco tynku.

Potem przez chwilę znów się namyślał, aż odłożył od owego punktu na murze dokładnie siedem długości, starając się pozostawić w linii poziomej.

Tom zapamiętał sobie te pomiary z całą dokładnością.

Młody człowiek słyszał jak Balkirk westchnął głośno raz i drugi, jak gdyby te pomiary zmęczyły go bardzo.

Balkirk istotnie wypoczywał przez chwilę. Wydobyl wreszcie z kieszeni po dłuższej pauzie jakiś mały przedmiot i zaczął nim majstrować u muru.

Nagle młody detektyw dosłyszał Balkirką najwyraźniej:

— A niech — że to z takim gadaniem. Co to miało znaczyć z tym polarnym niedźwiedziem!?

I Balkirk dalej uderzał i próbował rysować owym małym przedmiotem po murze.

W pewnym momencie dosłyszał Tom dźwięk lekki wprowadzie, ale metalicznie czysty.

— Zdaje mi się, że go mam! — zawołał opryszek.

Czynił teraz wrażenie, jakby z całych sił naciskał owym małym przedmiotem na mur. Możliwe, że chce coś zagłębić w murze.

Ale w tej samej chwili Balkirk został z olbrzymią siłą odrzucony w tył, a z muru strzelił żółty snop światła.

Przez chwilę Balkirk stał bez ruchu. Potem padł na ziemię, jak kłoda podcięta. Z twarzą ku chodnikowi leżał jak martwy.

Tom podbiegł do niego i uniósł mu głowę.

Ujrzał twarz zniekształconą straszny cierpieniem. Tom zrozumiał, że na twarzy nieszczęśliwego znaczył się już stygmat śmierci.

Mała ciemna uliczka, zaułek londyński jakich nie brak w tym największym mieście na świecie, była dalej cicha i bezлюдna. Tom odczuł tylko po chwili ciężką woń spalenizny. Potem wzrok jego padł na dłoń Balkirka.

Cała kiść była zwięzłona. Lśnił w niej mały przedmiot metaliczny, który Tom starannie ukrył w kieszeni.

Młody człowiek oddalił się szybko. Gdy już poczuł się wśród jasności lamp ulicznych i neonów — ukradkiem wyjął ów mały przedmiot z kieszeni i przyjrzał mu się.

Była to gwiazda siedmioramienna, wykonana w żółtym metalu i wielkości, srebrnej monety.

O tej gwiazdzie będzie właśnie mowa w dalszych rozdziałach naszego opowiadania.

★

Tom złożył swemu mistrzowi dokładną relację.

— Bardzo to wszystko dziwne, — rzekł detektyw.

Potem sięgnął do biblioteki i dobył dużą księgę. Był to plan zabudowań miasta Londynu.

— Czy znsz, — rzekł Dickson, — miejsce, o którym wspominasz?

— Wiem, że tam raczej nic nie ma, prócz murów i płotów.

— Właśnie. Ale i za tym płotem, z którego tryśnął płomień — nie ma nic. Jest to tylko odgródzenie terenu po dawnych fortyfikacjach. Terenem tym można przejść do prawdziwych ruin przy Sent Street. Zaraz się dowiemy co nam powie policja.

Po kilku minutach już dzwonił inspektor danej dzielnicy:

— Nic szczególnego o tym terenie nie wiemy. Jest niezamieszkały zupełnie. Przepływa przezeń ściek, dla tego nie można go było rozparcelować. Mur okalający jest znacznej grubości.

Tak brzmiał raport policji.

— Nie dowiedzieliśmy się niczego, — rzekł Tom — nie wiemy nawet w jaki sposób zginął nasz Balkirk, którego mi żal serdecznie.

— Jak zginął — wiemy, odparł Dickson. — Został zabity przez prąd o wysokim napięciu. Ale przyjrzyjmy się jeszcze raz tej gwiazdzie.

Detektyw położył lśniący przedmiot na papierze i poddał go dokładnym oględzinom przez lupę.

— Czy wiesz do czego służy ten przedmiot, Tomku?

— Jest najpewniej umówionym znakiem jakiegoś bractwa, albo bandy.

— Nie, mój drogi. Ta gwiazda — to klucz prosty. Ale klucz zbudowany niezwykle pomysłowo.

Teraz Tom wziął lupę i również skierował ją na gwiazdę.

— Przyjrzyj się dokładnie, — mówił mu mistrz. — Każde ramie gwiazdy jest nieco inne, choć na oko wyglądają wszystkie jednakowo. Każde jest innej grubości, każde ma inne nacięcia i inaczej spilotowany koniec.

Wiemy, — ciągnął detektyw, — że wprowadzenie tego klucza do zamku połączone jest z wielkim niebezpieczeństwem.

— A na co rękawice gumowe? — mistrzu? — Przecież w takich rękawicach izolujących możnaby napewno spróbować otworzyć ów zamek.

— Oczywiście, że możnaby. Ale skąd wiesz, że ów zamek nie jest połączony z jakąś maszyną piekielną, albo czymś w tym rodzaju?

— Należałoby jednak spróbować!

— I narażać się na śmiertelne niebezpieczeństwo? Nie, mój drogi. Jestem pewny, że ludzie którzy coś ukryli i zamknęli na ten dziwny zamek — uczynili wszystko co było w ich mocy, aby intruzów spotkał los taki sam jak Balkirka.

Tom zamyślił się.

— Oczywiście, że ryzykować nie należy, — rzekł po chwili. — Żeby tak można było domyśleć się czegoś ze słów tego nieszczęśliwca.

— Przypomnij sobie dokładnie co mówił w ostatnich chwilach? Może teraz, gdy poczniesz odtwarzać te minuty zrozumiesz coś nie coś z jego dziwnego mamrotania... Pamiętaj, że każde słowo może mieć znaczenie...

— Nie wiele pamiętam. Musiałem być od niego przecież stale w przyzwolonej odległości. Musiałem się kryć... Mówił o jakimś białym czy małym niedźwiedziu. Tyle pamiętam.

— Niedźwiedź... Białą Niedźwiedź... — Dickson powtarzał te słowa w głębokim zamyśleniu.

Nagle detektyw klasnął w dłonie:

— Mam! Przede wszystkim musimy wybaczyć Balkirkowi jego słabą znajomość astronomii. Od gwiazdy się zaczęło. Ta gwiazda — klucz z metalu ma siedem ramion. Jakie są konstelacje o siedmiu ramionach?.. Pomyśl, Tomku..

— Mała...

— Dobrze! Mała Niedźwiedzica!

— Tak! Tak! — Tom promieniał cały z zachwytu nad swym mistrzem.

— A jaka gwiazda wchodzi w skład tej konstelacji?

— Gwiazda Polarna!

— Mamy już!

— Jeszcze nie, ale zbliżamy się do sedna rzeczy. Wiemy, że ów klucz oparty jest na wzorach zapożyczonych z układu ciał niebieskich, z konstelacji Małej Niedźwiedzicy. Teraz możemy już się przyglądać całości pod zupełnie innym kątem widzenia.

Dickson począł na nowo badać ów dziwny klucz. Po kilku chwilach Tom wyczytał w jego oczach przebłyty radości.

— Prędzej, Tomku! Daj mi pióro, igłę, czy coś w tym rodzaju, coś ostrego, ze stali!

Tom podał swemu mistrzowi zwykłą stalówkę do pisania.

Dickson położył stalówkę na arkuszu papieru i zbliżył do niej gwiazdę.

Jedno zramion gwiazdy było magnelem. Stalówka od razu przywarła do niego!

— Doskonale! — zawołał Dickson. — Zdaje mi się, że mamy już teraz klucz, który nas zawiezie do wyjaśnienia całej tajemnicy!

Detektyw był zadowolony z tego zestawienia słów.

— Idziemy? — rzucił Tom. — Robi się późno, szkoda czasu. Chodźmy w ten mały zaułek i zobaczymy jakie jest rozwiązanie tej tajemnicy.

— Nie odkładaj nigdy na jutro, co możesz zrobić dzisiaj.. Czy tak uważasz, Tomie. Masz rację. I ja uznaję tę zasadę. Ale...

Dickson nagle zatrzymał się.

— Zaraz... zaraz... Jeszcze chciałbym coś sprawdzić. Proszę cię daj mi literę „P“ z encyklopedii. Zobaczymy coś nie coś pod słowem „Polarny“.

Po paru chwilach Dickson skończył lekturę. Zwrócił Tomkowi grubą księgę, ale był mocno zamyślony i widać pod wrażeniem tego, co wyczytał.

— Czego się pan dowiedział, mistrzu?

— Że musimy się cofnąć o dwa wieki wstecz.

— Nie wiele rozumiem, mistrzu.

— I ja nie o wiele więcej. Ale zobaczymy. Kapelusze, czapki, latarki i rewolwery! — Idziemy!

A teraz...

Czeka nas teraz niespodzianka niezwykła, o jaką trudno w ramach normalnego opowiadania. Przypadek, pan wszechwładny losów ludzkich, ukazuje się w całej swej potędze zarówno przed autorem tych słów jak i jego bohaterami.

Gdy detektywi dojechali do Covent Garden, tuż koło dawnej Sent Street, ujrzeni silny kordon policji, powstrzymujący napór gawiedzi. Gryzący czarny dym unosił się w powietrzu.

Harry Dickson podszedł do inspektora, kierującego akcją policji.

— Co się stało?

— Pali się na Sent Street.

— Co się pali?

Inspektor dopiero teraz poznał z kim mówi.

— Ależ to Harry Dickson!.. Przepraszam najmocniej... Tyle razy już mnie w ciągu kilkunastu minut o to pytano, że zacząłem odpowiadać całkiem machinalnie, nie patrząc z kim mówię... Tak jest. Na Sent Street nastąpił wybuch. Stara jakaś rudera kawał muru — wszystko wyleciało w powietrze... Nie wiadomo dlaczego i kiedy. Kamienie i piasek poleciały daleko. Pękła też rura wodociągowa i może zalać dzielnicę... Tyle wiem, Sir.

Inspektor zsalutował. Dickson podziękował i udał się w kierunku ognia.

Z tajemniczej uliczki nie pozostało ani śladu.

— Wracamy do domu, Tomku, — rzekł Dickson. — Objekt naszego zainteresowania poprostu znikł z powierzchni ziemi.

Przypuszczenia

W wielkim gmachu Królewskiej Marynarki w Londynie panowała cisza. Była dziesiąta rano. Tysiące urzędników pracowało w tym olbrzymim budynku, ale mimo to, całość tętnęła skupieniem, powagą i wzorowym ładem.

Portier z długimi siwymi bokobrodami, z wygolonymi wąsami, wyglądający jak dyplomata z ubiegłego stulecia zwrócił się do przybysza tonem zlekka protekcyjnym:

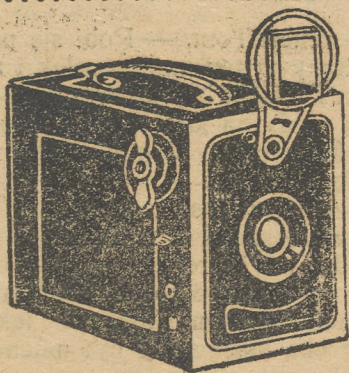
— Czym mogę służyć panu?

— Proszę mi wskazać biura specjalnego archiwum Marynarki Królewskiej.

Portier otworzył zdziwione oczy:

— Czy ma pan przepustkę?

— Może moje nazwisko wystarczy. Jestem Harry Dickson.



APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten, odznaczający się wysoką precyzją wykonania, robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Wyniki fotografowania bardzo dobre. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze — to też każdy może nim bez specjalnego przygotowania od razu robić zdjęcia. Aparat fotograficzny „Rekord”, efektownie wykonany, wysyłamy łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za zł. 8,95 na listowne zamówienie. Placi się przy odbiorze.

Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona 1.
skr. poczt. 802 H. D.

Portier odrazu zmienił się: z wyniosłego prawie stał się niemal służalczy: Skłonił się nisko i rzekł pozostając w pozie zlekka pochylonej:

— Zechce pan spocząć, Sir. Zaraz zwrócę się o pozwolenie. Mamy bardzo ostre instrukcje.

Detektyw skinął głową. Wiedział przecież doskonale, że do niektórych zwłaszcza wydziałów Ministerstwa Marynarki Królewskiej nie można wejść, jak do sklepu korzennego.

Po dziesięciu minutach portier wrócił jeszcze bardziej grzeczny i usłużny niż przed tym.

— Mr. Farkar — szef pierwszego wydziału przyjmie pana osobiście, Sir.

Detektyw przeszedł potem z rąk do rąk conajmniej sześciu woźnych, urzędników i portierów, z których każdy choć w sposób niezwykle uprzejmy, jednak nie mniej dokładnie badał jego dowód osobisty. Wreszcie ukazał się młody oficer marynarki i już sam poprowadził Dicksona poprzez długie wyscielane chodnikami korytarze do gabinetu swego szefa.

— Jest to dział najbardziej tajny z całej naszej służby. — tłumaczył detektywowi po drodze oficer. — Rozumie pan chyba, że żadne środki ostrożności nie są w takim wypadku zbyteczne.

Harry Dickson zamienił z młodym marynarzem kilka słów. Znaleźli się wreszcie przed drzwiami jednego z najwyższych dygnitarzy marynarki wojennej Zjednoczonego Królestwa.

— Wejść! — rozległ się wysoki głos na lekkie pukanie oficera.

Harry Dickson znalazł się w wielkim gabinecie, o rozmiarach dużej sali. W głębi za wspaniałym biurkiem siedział człowiek już siwy, o małej szpakowatej bródce — hiszpance, chudy i niepozorny. Tylko oczy tego wysokiego dostojnika świadczyły o wielkiej inteligencji i bystrości umysłu.

Mr. Farker wstał z za biurka i wyszedł na spotkanie gościa.

— Moje uszanowanie panu, Mr. Dickson. Czemu mam przypisać zaszczyt pańskiej wizyty?

Detektyw uściśnął podaną sobie dłoń i zajął wskazane mu miejsce.

— Chodzi mi o stare bardzo dzieje, z przed dwustu lat chyba i o ludzi dawno już zmarłych.

— Jeśli tak, to chyba nie ma obawy, byśmy się od nich mogli spodziewać jakichś złych czynów.

Umarli nie wstana, — rzekł Mr. Farker z melancholijnym uśmiechem.

— Nazwisko słynnego pirata Sharka jest panu znane Sir.

— Oczywiście!

Szef pierwszego wydziału odrazu spowaźniał.

— Jak głoszą zapiski, — rzekł Dickson, — Shark został powieszony w Londynie na placu publicznym.

— Tak chce historia, — potwierdził Mr. Farkar.

— Historia, ale nie rzeczywistość. Jak było naprawdę?

— Prepraszam pana, Mr. Dickson czy stawia mi pan to pytanie z prostej ciekawości?

— O nie, proszę pana. Pytanie to ma związek ze sprawą całkowicie aktualną i nawskroś kryminalną, której wyświetlenie zostało mi powierzono. Wysoki dygnitarz był szczerze zdziwiony.

— W takim wypadku, — rzekł po namyśle, — wyjawię panu, że nie Shark został powieszony, lecz jeden z jego skromnych pomocników. Trzeba było jednak w owym czasie uspokoić opinię publiczną i w tym celu rozpuszczono słuchy o ujęciu i egzekucji słynnego pirata.

— Doskonale. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, dwa okręty, na których ten śmiałek odbywał swe wyprawy nosiły nazwy: „Gwiazda Polarna“ i „Gwiazda Poranna“. Czy nie tak?

— Tak jest, Mr. Dickson. Nie myli się pan.

— Czytałem gdzieś dalej, — ciągnął detektyw, — że drugi z tych statków miał na sztandarze emblemat mniej więcej tego rodzaju.

Dickson narysował zręczną ręką siedmioramienną gwiazdę.

— Tak jest... Jest pan doskonale poinformowany, — odparł coraz bardziej zdziwiony i coraz bardziej zaniepokojony Mr. Farkar.

— Statków tych, — kontynuował detektyw swe twierdzące pytania, — nie udało się nigdy odnaleźć? Czy tak?

— Ma pan i w tym wypadku rację.

— Zato sam Shark został ujęty, ale nie był sądzony i nie został skazany, nie bacząc na bardzo liczną winę.

Mr. Farkar odpowiedział twierdząco już tylko gestem głowy.

— A teraz, — rzekł Dickson, przysuwając nieco swój fotel do biurka, — teraz wkraczam już w dziedzinę przypuszczeń i to przypuszczeń, które sam powziąłem.

Zakładam zatem, że Shark znał tajemnicę, może nawet wielkiej doniosłości, i że dzięki niej zdołał okupić się od kary śmierci. Zgadza się pan ze mną, Sir?

— Bardzo być może, — odparł szef wymijająco, — słucham pana...

— Proszę bardzo. A zatem teraz z kolei wyłaniają się dwie ewentualności: po pierwsze albo Shark za cenę swego życia wydał tę tajemnicę, ale mi się to nie wydaje prawdopodobne, bo ludzie jego

pokroju przekładają w takich wypadkach śmierć...

— Albo?..

— Albo też puszczo go poprostu luzem w tej nadziei, że uda się zeń tę tajemnicę wydostać, lub ją w jakiś sposób mu odebrać. Uważam tę drugą ewentualność za znacznie prawdopodobniejszą i chciałbym wiedzieć...

Mr. Farkar zmarszczył czoło i nie spuszczał teraz oka z oczu detektywa.

— Coby pan chciał wiedzieć, a raczej co pan wie?

— Chciałbym wiedzieć jakie jest zdanie pana, szefie, w tej sprawie. A wiem niewiele: że mianowicie tajemnica pozostała po dziś dzień tajemnicą.

Mr. Farkar odetchnął głęboko.

— Pan ma rację. Podziwiam pana. Cokolwiek o panu się słyszy, co o panu ludzie mówią, lub piszą dzienniki — to mało. Jest pan doprawdy genialny. W jaki sposób pan to wszystko odkrył?... — Nie czekając na odpowiedź, szef ciągnął dalej: — Muszę panu zrewanżować się za tyle szczerości i za zwierzenia podzielię się z panem również zwierzeniami. Ale wielkich rewelacji niech się pan po mnie nie spodziewa. Chodzi tutaj o tajemnicę stanu, choć Państwo samo tej tajemnicy nie zna. Wyrażam się dość dziwnie, nieprawda?

— Wcale nie, Sir. Ale jedno jest pewne: oto gdyby ta tajemnica znana była dzisiaj, po upływie dwóch wieków, ludziom lub państwu dla Anglii usposobionym nieprzychylnie. — Kraj nasz byłby w sytuacji nad wyraz ciężkiej.

— Właśnie! Tak jest! — krzyknął prawie Mr. Farkar.

— Czyżby pan znał rodzaj tego niebezpieczeństwa?..

— Nie. Ale i ja się czegoś domyślam. Nie jestem jednak upoważniony, by się z panem mymi domysłami podzielić, choćbym bardzo tego pragnął.

— Rozumiem, — rzekł detektyw. — Ale nie skończyłem jeszcze. Przypuszczam w dalszym ciągu, że Shark, czł. wiek przebiegły i dzielny, postanowił powierzyć komuś ze swych najbliższych tę tajemnicę, choćby w tej myśli, aby wraz z nim, z Sharkiem, tajemnica ta i korzyści z niej płynące, nie przepadły całkowicie. Dajmy na to, że Shark wybiera sześciu zaufanych i pragnie ich wtajemniczyć w ów sekret...

— I tych sześciu — gdzie jest?..

Mr. Farkar drżał cały i na twarzy wystąpiły mu szkarłatne wypieki.

— Niestety, tego jeszcze nie wiem, czy się wogóle dowiem kiedykolwiek, choć w tej chwili wydaje mi się, że powinienem ich ująć wkrótce.

— Co pan mówi! To nie do wiary!

Mr. Farkar stracił całkowicie zdolność panowania nad sobą. Wstał nagle z miejsca i począł dreptać drobnymi kroczkami koło swego biurka.

Ten mały, cherlawy człowieczek, czynił w tej chwili wrażenie wręcz niesamowite. Gdy spostrzegł, że detektyw mu się przygląda badawczo — siadł równie nagle jak wstał i widać było, że wielkim wysiłkiem woli zdołał się opanować.

— Powinienem ich ująć wkrótce, — powtórzył Dickson. — Ale nie o tym mówiłem... Wspomniałem, że według mych przypuszczeń Shark wybrał sześciu zaufanych i postanowił im powierzyć ową tajemnicę. Lecz ten przebiegły człowiek do ostatniej chwili jest nieufny nawet wobec swych najwierniejszych kompanów. Nie wtajemnicza każdego w całość sekretu, lecz podaje każdemu jego część tylko.

Wszyscy razem, gdy jeden powie drugiemu co wie, lub gdy jeden uczyni, co trzeba, a drugi uczyni co do niego należy, za nim trzeci i td... — wszyscy razem są dopiero posiadaczami tajemnicy. Shark nie zapomina o sobie i staje się siódmym w tym bractwie.

Mr. Farkar spoglądał na Dicksona oczami, w których paliły się ognie zainteresowania, podniecenia i zachwytu zarazem.

Dickson uczynił małą pauzę.

Mr. Farkar nie dał mu o etchnąć:

— Co dalej, Mr. Dickson. Niechże pan mówi!

— Czy pozwoli mi pan zapalić fajkę, Sir?

— Ależ proszę bardzo! Może cygaro?

Wysoki dygnitarz wstał i pośpieszył detektywowi z ogniem.

Dickson zaciągnął się wonnym dymem, chrząknął i mówił dalej:

— Zatem było ich w tym bractwie siedmiu. Można by przyprowadzić do siedmiu spółników posiadających wspólną skrytkę w banku, której mechanizm u zamka jest urządzony w ten sposób, że zamyka się na siedem liter, z których każdy spółnik zna tylko jedną literę.

— Wspaniale! — szepnął zachwycony dygnitarz. Słucham pana dalej!

— A więc przypuścmy, że siedem tych cząstkowych tajemnic w drodze dziedzictwa przechodziło z ojca na syna. Przypuścmy dalej, że jest w tej chwili sześciu ludzi znających licząc już dwieście lat tajemnicę.

Brak tylko siódmego. A bez tego siódmego całości nie znają.. Dziś wreszcie...

— Dziś wreszcie?.. — powtórzył zagryzając wargi Mr. Farka..

— Dziś wreszcie, — rzekł Dickson donośnym głosem, — tych sześciu zebrało się, skupiło swe siły, i postanowiło szukać owego siódmego.

— Nie! Nie! — krzyknął Mr. Farkar przerażony. — Niele wolno nam o tym nawet pomyśleć. Jest to tajemnica państwowa. Tu chodzi o nasz kraj!

— A jednak... Bractwo Siedmioramiennej Gwiazdy po upływie dwustu lat zebrało się teraz i skupiło swe siły. Jest ich sześciu. Szukają siódmego.

— Czy ich pan zna?

— Nie.

Mr. Farkar westchnął ciężko.

— Ale znam siódmego. Tylko tego jednego znam a raczej wiem jak się nazywa.

— Któż to taki?

— Przed sześciu miesiącami mieszkał jeszcze w Londynie pod nazwiskiem Tymoteusza Soamesa, urzędnika prywatnego. Niedawno został on zwolniony z więzienia i od tej chwili znikł.

★

Mr. Farkar przez długi czas myślał o czymś intensywnie.

— Muszę w tej chwili porozumieć się z moim ministrem, — rzekł wreszcie szef pierwszego wydziału. Przepraszę pana na kilka minut

— Czy wolno mi tu pozostać?

— Ależ oczywiście.

Po kilku minutach Mr. Farkar wrócił.

— Przez moje usta, — oświadczył uroczyście detektywowi. — powierza panu Anglia misie niezwykłej wagi. Proszę mnie wysłuchać.

Dickson wstał.

Sensacyjna nowość 1938!! Automat-pistolet „GROM“



Fason belgijski Kal. 6-cio mm. Repetuje się przed każdym strzałem, automatycznie wyrzuca łuski. Huk wgluszający. Idealna obrona przed napadem! Wykonanie luksusowe: lufa pięknie oksydowana, rękojeść kryta śnieżnym bakelitem! Waga 200 gr. długość 10 cm. szer. 5 cm. Gwarancja fabryczna na 5 lat. Cena

tylko zł. 6.95, 2 sztuki 13.50. — Sotka naboju syst. „Flobert“ zł. 3.65. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona I. strz. poczt. 802 H. D. Uwaga! Wystrzegaj się taniej tandety, polecanej przez pokatnych sprzedawców, którzy przyrzekają magazynki, naboje, futerały i nie dodają. Zanawiając u nas, be dziecie zadowoleni.



— Chodzi o wyszukanie i ujęcie owych sześciu?
— Tak jest.

— Niewątpliwie należy uczynić wszystko, aby uniemożliwić im szkodliwej dla kraju działalności?

Mr. Farkar był ośniony:

— Z panem można wcale nie mówić. Pan słyszy cudze myśli. Tak jest. Trzeba ich ująć, odebrać im możliwość działania, trzeba uczynić wszystko, aby to bractwo zlikwidować. Minister Królewskiej Marynarki udziela panu w tej misji jak najszerzych pełnomocnictw.

— Właśnie o to mi chodziło, — rzekł Dickson. — Pozwoli pan, że już w tej chwili rozpocznę pracę. Proszę, aby pan minister marynarki spowodował u swego kolegi ministra sprawiedliwości cofnięcie aktu łaski w postaci złagodzenia kary Tymoteuszowi Soamesowi, zwolnionemu z więzienia przedterminowo. Odnośne rozprządzenie musi zostać wydane jak najprędzej.

Mr. Farkar rozłożył ręce:

— Przecież sam pan mówił że Soames zniknął.

— Zniknął, ale nie na długo, gdyż już dziś wieczór winien znaleźć się w swej dawnej celi w więzieniu w Pentonville!

Po kilku godzinach gazety wieczorne podały następującą krótką informację:

„Tymoteusz Soames, skazany na 6 miesięcy więzienia za kradzież i zwolniony przed terminowo z uwagi na zły stan zdrowia — został pozbawiony dobrodziejstw złagodzenia kary. Soames został w dniu wczorajszym za trzymany i ponownie osadzony w Pentonville aż do całkowitego odcięcia kary sześciu miesięcy więzienia“.

Siódme wrota

Minął tydzień od chwili, gdy Tymoteusz Soames powrócił do więzienia w Pentonville i został poddany ostremu rygorowi panującemu w tym zakładzie karnym.

Nie bacząc na niezwykle okoliczności, w jakich ten więzień przed tym Pentonville opuścił — nie był Soames poddany żadnemu przesłuchaniu. Prawdą jest, że dozorca Parker i inni jego koledzy, blis-

cy całej sprawy, zostali translokowani. Przeniesienia te miały jednak charakter awansów. Zwłaszcza sprostregawczy i sumienny Parker uzyskał znacznie lepsze stanowisko.

Soames, podobno jak przedtem tak i teraz okazał się więźniem wzorowym i rychło znów zdobył sobie dobrą opinię u kierownictwa więzienia. Umieszczono go teraz nie w celi 137 w w skrzydle B, ale w celi jeszcze wygodniejszej. Cella ta mieściła się w skrzydle A, była nieźle umeblowana i nie brakowało w niej nawet małej biblioteczki.

Nikt od Soamesa nie wymagał, aby pracował. Mógł rysować, albo czytać — jak wolał.

Właśnie po tygodniu od chwili, gdy Soames wrócił do więzienia — lekarz więzienny zameldował, iż przybyć nie może i został zastąpiony przez jednego ze swych kolegów z miasta. — Dr. Carstona. Z gorliwością zastępcy na krótką metę, zbadał Dr. Carston nie tylko chorych, ale i narzekających na drobne dolegliwości. Z Soamesem rozmawiał ów lekarz po przyjacielsku przez dłuższą chwilę.

Po tej wizycie — prosił Soames o rozmowę z zastępcą naczelnika więzienia.

— Nowy doktor uznał że z moim zdrowiem jest znów niedobrze. Proszę o przeniesienie mnie na izbę chorych.

— Dobrze Soames, — rzekł zastępca naczelnika.

Po czterech dniach do kancelarii więzienia przybyła młoda dama z arystokracji i przedstawiła pismo ministra sprawiedliwości, upoważniające ją do odwiedzenia więźniów. Piękna ta pani szła od celi do celi i rozmawiała z więźniami w cztery oczy.

Po tej nowej wizycie Soames znów prosił o widzenie się z kimś z kierownictwa więzienia.

— Kim była ta lady, która mnie odwiedziła? — zagadnął Soames zastępcę naczelnika.

— Była to lady Fields, osoba bardzo znana w Londynie.

— Oświadczyła mi, że mogłoby dla mnie wyjednać zwolnienie przedterminowe.

— Nie wątpię w to. A co jej pan na to odpowiedział Soames?

— Powiedziałem, że już nie warto się starać. Więzień nie karany dotąd, jak ja, uzyskuje zawsze zmniejszenie kary o 5 do 6 tygodni. Wolno mi chyba liczyć, że na dziesięć dni zostanę, mimo wszystko, zwolniony.

— Tak jest, Soames. Jaki ma pan jeszcze interes?

— Tylko chciałem powiedzieć, że prosiłem tę damę, by się wystarała o wizytę mej staruszki matki, zamieszkałej przy Rupert Street w Whitechapel. Przyrzekła mi, że będzie to załatwione w krótkim czasie.

— Jeżeli przyrzekła, to słowa dotrzyma. Do widzenia, Soames.

Już po dwóch dniach starsza jakaś, chuda i wysoka kobieta zgłosiła się w więzieniu. Wylegitymowała się zezwoleniem na widzenie ze swym synem — Timem Soamesem, który został sprowadzony na dół do rozmównicy.

— Dzień dobry, mamo. Widzę, że ta dobra dama spełniła przyrzeczenie.

— A tak synku. Sama przyszła do mnie, do mojego mieszkania aż w Whitechapel i nawet zostawiła mi trochę pieniędzy. Powiedziałam jej, że jesteś dobrym synem i że napewno nie wrócisz do

więzienia. Mówiła mi, że za dziesięć dni wyjdiesz... Będę na ciebie czekała przed bramą synku.

— Dziękuję, mamó... Bardzo dziękuję.

Syn uściskał matkę, która na pożegnanie serdecznie doń skinęła dłonią.

Była to scena tak wzruszająca, że dozorca asystujący przy niej z obowiązku, prawie chlupał.

Soames został odprowadzony do swej celi. Po dziesięciu dniach opuścił ją — tym razem już definitywnie.

Było już ciemno, gdy Soames wyszedł z więzienia. Stara matka — jak przyrzekła — czekała nań pod bramą. Oboje szli małymi krokami przez ulicę, jak ludzie, którzy są jeszcze radzi, że się znów znaleźli razem. Właśnie zamierzali wsiąść do autobusu, któryby ich zawiózł do Whitechapel, gdy wielka i luksusowa limuzyna zatrzymała się przed nimi. Z głębi odezwał się głos młody i pełen świeżości:

— Missis Soames! Mr. Soames!... I ja przybyłam na pana powitanie.

Stara matka byłego więźnia uczyniła głęboki ukłon. Ujrzała bowiem swą dobrodziejkę — lady Fields.

— Odwiozę państwa... Albo może jeszcze lepiej będzie, gdy pani i syn pojedą ze mną, do pewnego znajomego, który wystara się dla pana o pracę... Proszę do mego wozu...

Lady była czarująca, a jej dobroć i uczynność pełna była serdeczności i prostoty.

Matka i syn nie dali się prosić i zajęli miejsce w pięknej limuzynie. Wóz ruszył szybko naprzód. Ze znaczną szybkością przejechali kilka ulic mglistego Londynu.

Starsza osoba siedziała godnie w samochodzie. Po dłuższym milczeniu nawiązała z młodą lady krótką rozmówkę.

— Czy mi się zdaje, że mijamy Covent Garden?.. Nie bardzo znam te strony, a że taka mgła, więc tym bardziej nie wiele mogę poznać...

— A tak, — odparła lady Field. — Mijamy Covent Garden. Zna pan te strony, Mr. Soames?

— Przyznam pani, mylady, że nie bardzo... Wolę okolice żywsze, bliższe centrum, gdzie życie pulsuje mocniej, gdzie ruch jest większy... Chociaż podobno w tych stronach mieszkają najwięksi bogacze, tak przynajmniej słyszałem...

— Zgadza się, Mr. Soames. Przyjaciel mój, do którego pana i matkę wiozę, jest bardzo bogaty. Wierzcie mi, moi państwo, że będzie to dla mnie największym szczęściem, gdy będę wiedziała, iż zdołałam zapewnić wam byt i spokój.

Młoda dama aż się zapłoniła. Była wzruszona swymi słowami. Wyświadczenie przysług bliźnim i to bliźnim ubogim było snać jej celem w życiu i było dla niej może jeszcze większym szczęściem niż dla tych, których uszczęśliwiała.

Missis Soames, satruszka, matka zwolnionego niedawno więźnia, słysząc te słowa pięknej kobiety i widząc jak gorąco pragnie im pomóc — kiwała głową i wreszcie dlrżącymi dłońmi otarła łzę cisnącą się do oka.

— Oby Bóg panią wysłuchał, rzekła Missis Soames, składając pobożnie dłonie i spoglądając ku niebu, a raczej ku dachowi limuzyny.

Samochód zatrzymał się. Szofer kilkakrotnie sygnalizował, najpewniej na służbę. Wybiegł wreszcie dozorca, skłonił się nisko w stronę wozu, choć

nikogo w limuzynie dojrzeć nie mógł i czym prędzej otworzył wrota.

— Jak to wygodnie! — rzekła Missis Soames. — W ten sposób podjedziemy wprost do tarasu i nie zmokniemy zupełnie!

— Tak jest, — rzekła lady Fields, śmiejąc się głośno.

Lady skierowała ich wprost do hollu — szerokiego i jasno oświetlonego. Sama lady wskazała im potem drogę do salonu. Okna były zasłonięte ciężkimi draperiami. Tutaj oświetlenie było znacznie słabsze. Lady wyszła, pozostawiając matkę z synem.

— Ładnie jest tutaj, nieprawda, synu?

Staruszka mówiła szeptem jak osoba onieśmieszona otaczającym ją splendorem.

— Ładnie jest. Ale ja osobiście wolę nowoczesne meble, a nie takie antyki.

— Nieladnie jest krytykować swych dobroczyńców, mój synu. Nie zapominaj, że dzięki lady Fields będziemy mogli żyć w spokoju i może nawet w dostatku.

— Tak jest, mamusiu. Masz rację. Naturalnie że nie pisnę ani słoweczkiem wobec samej lady.

Drzwi po kilku chwilach otworzyły się i lady Fields weszła do pokoju krokiem szybkim i nerwowym. Widać było, że jest czegoś zaniepokojona.

Nagle młoda kobieta otworzyła boczne drzwi. Do salonu weszło szybkim krokiem, niemal wtargnęło pięciu gentlemanów. Soames naliczył ich pięciu.

— Czy się nie mylę, — rzekł po chwili Soames, — czyżby to był pan doktor, który mnie tak dokładnie zbadał w więzieniu?

Doktor nagle spochmurniał i krzyknął ostro:

— Dostyc tych komedji! Mamy cię w ręku, Soames! Nie zrobimy ci nic złego, jeśli będziesz nam posłuszny.

— Wielkie nieba! — zawołała staruszka. Co się tu stało? Panowie, przecież mój syn nie jest złym człowiekiem. Dostał się do więzienia nie zupełnie z jego winy.. Ja mogę za niego zaręczyć, że nie jest złodziejem!...

— Dostyc tej paplaniny! — krzyknął Dr. Carston. — Soames! Żądamy siedmioramiennej gwiazdy!

Soames nie dał się zbić z tropu.

— Więc to takie dobrodziejstwa mnie tutaj czekały?... Podstęp zwykły podstęp, nic więcej! Nie, gwiazdy nie dostaniecie!

— Zastanów się, Soames! Igrasz ze swym własnym życiem!

— Nie zastraszcicie mnie. Nic wam z mojej śmierci nie przyjdzie!

Doktor Carsten zbliżył się do Soamesa.

— A jednak zginiesz, jeśli nam nie wydasz gwiazdy!

— Nie zginę! Nie zabijecie mnie. Nie będziecie mieli odwagi. Bo wraz z moją śmiercią — zginą wasze ostatnie nadzieje na odnalezienie gwiazdy. Nie możecie nic począć beze mnie!

— Wtrącimy cię znów do więzienia!

— To się wam tylko raz udało! Myślicie, że nie rozpoznałem w tej lady Fields tej samej kobiety, która kazała mnie aresztować tylko po to, aby podczas rewizji osobistej stwierdzić, czy nie mam przy sobie siedmioramiennej gwiazdy? Poznałem ją odrazu!

— Tim! — odezwała się płaczącym głosem matka. O czym ty mówisz synku? Przecież ta pani

CUDA I TAJEMNICE CZARNEJ I BIAŁEJ MAGJI

każdy, kto chce wzbudzić w sobie zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magji, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Lustró magiczne, latający zegar. Tańczące jabłko. List w jajku. Jajo w butelce. Śpiewająca fiaszka. Sztuki z rachunkami, z kartami, z zakresu akustyki, optyki, pirotechniki. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa i Pl. Napoleona skr. poczt 802 H.D.



NIE ZWLEKAJ

SZYBKO ZAMAWIAJ!

UWAGA: Bezpłatnie dodajemy najnowszą wszechświatową książkę p. t. „Sztuka wróżenia z kart i rak” według słynnej wróżki Napoleona I. P. Leormand.

pragnęła tylko naszego dobra. Ci panowie też ci nie złego nie życzą, ręczę ci.

— Prawda przemawia przez pani usta, — rzekł drwiącym tonem Dr. Carston.

Soames jakby się wahał. Po chwili rzekł:

Zgoda. Nie odmawiam wam kategorycznie. Ale stawiam swe warunki.

— Co to ma znaczyć — zapytał jeden z obecnych.

— Ma to znaczyć, — powtórzył Soames, — że nawet posiadanie gwiazdy, a właściwie mojej gwiazdy, bo każdy z was ma swoją własną, nie wprowadzi was w całość tajemnicy Sharka...

— Ciszej!... Tego nazwiska nie wymawia się głośno.

Obecni byli mocno skonsternowani.

Soames wstał nagle i wyprostował się. Jego cherlawa postać jakby wyrosła nagle i zmężniała.

— Kto śmie mi tutaj rozkazywać! — krzyknął mały człowieczek. — Zapominacie, że nawet mając moją gwiazdę w ręku nie potraficie się nią posługiwać. Zapominacie, że ja tutaj jestem panem. Tak, bo ja mam Gwiazdę Polarną.

Słowa te odniosły skutek piorunujący.

Lady Fields, Dr. Carston i pozostali, jakby szukając osłony w swych fotelach, wsunęli się w nie głęboko i spoglądali na Soamesa oczami pełnymi trwogi.

— Czyżby pan był doprawdy z rodu wielkiego Sharka?

To Dr. Carston, po dłuższej dopiero pauzie pozwolił sobie na postawienie tego pytania.

Lady Fields nie czekała na odpowiedź Soamesa.

— Jest sposób, — rzekła, — aby się o tym przekonać. Niech nam Mr. Soames poda swe prawdziwe nazwisko. Prawdziwe, czy mnie pan rozumie?

Soames przez chwilę był bezradny. Spojrzał się na matkę, jakby pragnął zasięgnąć jej rady, ale dzieła staruszka już mu przyszła w sukurs:

— Ja powiem za niego, — odezwała się Missis Soames. — Powiem na ucho panu doktorowi i lady.

Missis Soames wstała z trudem i zbliżywszy się do doktora coś mu szepnęła na ucho. Lekarz zbladł i najwyraźniej zaczął drżeć. Lady Fields zaś, gdy usłyszała od staruszki owo jedno jedyne słowo — omal nie zemdląca.

— A zatem, — rzekł doktor zgaszonym głosem. — Przeznaczenie chciało, byśmy się tutaj zebrali wszyscy razem i byśmy poznali ową wielką tajemnicę, jaką nam przekazali nasi przodkowie. Jesteśmy bowiem potomkami oficerów i towarzyszy sławnego kapitana Sharka, którym ten wielki człowiek w tak dziwny sposób powierzył swój sekret.

Doktor zwrócił się do Soamesa. W głosie jego była teraz uległość i służalczość.

— Proszę nam wybaczyć, szanowny panie Soames, żeśmy przez czas pewien przypuszczali, iż jest pan tylko uzurpatorem a może nawet i oszustem. Żałujemy szczerze naszego błędu i prosimy o przebaczenie za te cierpienia, które pan przez nas znosić musiał. Chylimy przed panem czoła, widzimy i uznajemy w panu — swego zwierzchnika i wodza!

Obecni wstali i skłonili się głęboko.

Soames chrząknął i wyprostował się.

— Słowa wasze przyjmuję do wiadomości. Jestem waszym szefem, bo tak chce moje urodzenie. Jako szef — wystąpię ostatni. Zresztą — mój klucz jest na końcu.

— Tak jest, — potwierdził Dr. Carston, skłoniwszy się.

Soames podniósł głos:

— Dostojni członkowie wielkiego Bractwa Gwiazdy Polarnej, sławnej siedmioramiennej gwiazdy, która jako bandera na statkach naszych przodków była postrachem mórz i oceanów! Oto przyszedł czas, byśmy się znów, jak ongiś, przed dwustu laty, zesłali i byśmy ujawnili tajemnicę, przekazaną nam przez wielkich naszych ojców.

— Niechaj gwiazda Alfa spełni swój obowiązek. Rozkazuję!

Jeden z gentlemenów podniósł się, wyjął z kieszonki siedmioramienną gwiazdę i rzekł uroczysto:

— Zamek znajduje się w domu nr. 3 sąsiedniej ulicy.

— Proszę iść i zamek otworzyć! Szybko.

Po pięciu minutach posiadacz gwiazdy Alfa wrócił i i oświadczył:

— Przełączyłem zamknięcie! Zamek się otwiera.

— Gwiazda Beta! — zawołał Soames.

— Ruina przy Sent-Street. Dostęp jest nienaruszony.

— Prędeż na miejsce. Szofer do dyspozycji.

Po niespełna kwadransie i ten wrócił z mel-dunkiem, że klucz został do zamku wprowadzony.

Przyszła potem kolej na gwiazdy Gama i Delta. Te ostatnią posiadał Dr. Carston, który oświadczył, iż zamek znajduje się w jego domu i że otworzy go, gdy tylko wróci do mieszkania.

Wreszcie lady Fields zaprowadziła obecnych do suteryn swego domu, odchyliła tam jeden z kamieni i w nim odnalazła okutą w stal szparę, w którą wprowadziła odpowiednie ramię swej gwiazdy.

Dr. Carston udał się w międzyczasie do swego mieszkania.

Gdy lekarz wrócił Soames zwrócił się do obecnych:

— W ten sposób sześć zamków zostało otwartych. Mój przodek rozmieścił je w sześciu różnych domach tej starej dzielnicy naszej stolicy. Jego na-

stępcy trwali na swych stanowiskach i czuwali nad tymi domami i nad zamkami, które w nich się kryją. Oddajmy im hołd za to. Siódmy zamek, gdy zostanie otwarty — odchyli nam wielką tajemnicę. Zamki są połączone. Mnie przypada ten wielki zaszczyt. Was zaś spotka honor nie mały — asystowanie przy tej ceremonii.

Proszę, aby lady Fields udzieliła nam swego wozu.

Umieścili się wszyscy w wielkim luksusowym wozie. Soames siadł za sterem. Jego stara matka zasiadła obok niego. Soames prowadził wóz, jak wirtuoz kierownicy. Jechali szybko i minęli kilka ulic.

Wreszcie wóz zatrzymał się przed bramą jakiegoś domu składowego. Soames wysiadł z wozu i otworzył bramę kluczem, który miał przy sobie.

Weszli do dużego pokoju. Drzwi zamknęły się za nimi.

— Chwileczkę! — rozkazał Soames. — Niech zapalę światło!

Wszyscy czekali w przedpokoju.

— Proszę wejść.

Nagle pokój zalało jaskrawe światło.

Dwunastu policjantów z bronią gotową do rzutu — czekało na ich przybycie.

— Zdrada! — krzyknął Carston i rzucił się do ucieczki.

Ale konstable już go otoczyli i skrepowali.

W tej samej chwili rozległy się wśród ujętych okrzyki zdumienia.

Bo oto pocziwa Missis Soames zrzuciła starą mantylkę i szal, zerwała z głowy siwą perukę i wyprostowała zgięte w kablak plecy. Sam zaś Soames, zrzuciwszy z głowy ryże włosy, omal nie skakał z radości.

Harry Dickson i Tom Wills uścisnęli sobie dłonie, wieszając sobie sukcesu.

Drzwi się otworzyły szeroko. Policjanci stanęli na baczność.

— Hallo, Harry! To jest jedna z twoich najlepszych sprawek! Odrazu wszystkich i to w tak gładki sposób. Wieszuję ci. Tom też się spisał jak lala!

Intendent Scotland Yardu Goodfield, najserdeczniejszy przyjaciel detektywa, przybył, aby odebrać z jego ręki zatrzymanych. Otyły Mr. Goodfield, zawsze dobrej myśli, promieniał tym razem i serdecznie cieszył się sukcesem Dicksona i Willsa.

— Przewieziemy tym państwa do mnie, — zdecydował Goodfield. — Ja sam ich przestucham. Co z nimi dalej będzie — o tym nie ja będę decydował.

Zatrzymanych wyprowadzono.

Gdy Dickson, intendent Goodfield i Tom siadali do samochodu Scotland Yardu, nadjechał duży Rolls Royce z odznakami Marynarki Królewskiej.

Z okna limuzyny czynił już ku całej trójce przyjazne znaki Mr. Farker — szef pierwszego wydziału ministerstwa marynarki. Wysoki ten dygnitarz był już o wszystkim poinformowany. Przyjechał widać nie tylko po to, by powinszować detektywowi gdyż po słowach uznania zwrócił się do całej trójki:

— Proszę panów wszystkich jak tutaj jesteście do siebie, do mego gabinetu w ministerstwie

Musimy omówić jeszcze kilka spraw dodatkowych. Samochód policyjny pojechał do garażu próżny.

Sprawy dodatkowe

W wielkim gmachu ministerstwa ruszył Mr. Farker przodem, pozostawiając na chwilę trzech przyjaciół w odosobnieniu. Skorzystał z tego Tom, aby zwrócić się do swego mistrza z jednym z licznych pytań, jakie miał zawsze na końcu języka.

— Wszystko to pięknie, mistrzu, ale dałbym nie wiem co za to, żeby nareszcie tego Soamesa ujawnić. Byłem nim przez kilka godzin, ale nie-stety — na tym koniec. Gdzie jest Tymoteusz Soames i na czym polega ta tajemnica?

— Jako grający rolę Soamesa, — uśmiechnął się detektyw — powinieneś o tym wiedzieć najlepiej. Wcieliłeś się tak znakomicie w jego postać, że powinieneś już przez to samo poznać tajemnicę tej niezwykłej postaci...

Właśnie Mr. Farker zwołał kroku i wskazał im otwarte drzwi swego gabinetu. Detektyw zwrócił się do dygnitarza:

— Mój uczeń chce się koniecznie dowiedzieć, gdzie się podział prawdziwy Soames, Sir. Mam wrażenie, że jako były Soames — winien go ten zaszczyt spotkać.

— Czy ja wiem... Jeżeli pan jest w stanie zerknąć go z tym człowiekiem, jeżeli pan wie gdzie go szukać — to możnaby w rezultacie spełnić życzenie Mr. Willsa.

Mr. Farker był jakoś dziwnie niezdecydowany. Wskazał swym gościom fotele i podsunął papierosy.

— Zobaczmy jeszcze, — rzekł Dickson, — jak się sprawy ułożą. Narazie chciałbym ci, Tomku, wyjaśnić, że gdybyś nawet ujrzał samego Soamesa nie posunąłbyś się dzięki temu ani krok w zgłębieniu samej tajemnicy... Zdaje mi się, że ta tajemnica już przestaje istnieć... Mr. Farker zgodził się chyba w tej mierze ze mną?

Szef pierwszego wydziału jakby się obudził z głębokiego zamyślenia.

— Co pan mówi?... Czy się zgodzę. Ależ oczywiście. Zgadzą się. Pozostawiam to całkowicie do pańskiego uznania.

Mr. Farker po tych słowach wstał i przeprosił swych gości.

— Możeby mi pan tymczasem powiedział coś więcej w tej sprawie, — nalegał Tom. — Potem przyjdzie Mr. Farker i zajmie nam czas swoimi sprawami.

— Jeżeli tak bardzo chcesz... Chociaż mogę cię zapewnić, że Mr. Farker dużo czasu nam nie zabierze... Otóż słuchaj, Tomku. I ty, Goodfield, możesz też posłuchać. Jest to doprawdy dziwna historia.

Soames, wielki patriota, pobiegł na miejsce, Kieszeni, był rad, że znajdzie się w więzieniu. Oczywiście, naszyjnik nie ukradł, lecz że mu wrzuciła owa rzekoma lady Fields, która jest w kontakcie z niemieckim sztabem generalnym. Gdyby Soames choćby tylko próbował się bronić — znalazłby się na wolności. Czuł się w więzieniu pewniejszym: pozostali posiadacze gwiazd stawali się coraz bardziej niebezpieczni.

Mimo to, w więzieniu nawet, czuł Soames, że go wrogowie osaczają. Uczynił tedy to, co mu nakazywała wola przodka — kapitana Sharka: spisał na małym arkusiku całą tajemnicę i ukrył ją w więzieniu.

Łatwo sobie wyobrazić jego przerażenie, gdy zawiadomiono go o zwolnieniu zupełnie nagle i nie pozwolono mu nawet wrócić do celi. Nie pamiętaliśmy o tym i dziwiliśmy się, dlaczego Soames wcześniej owej cennej rzeczy nie zabrał.

To też wrócił nocą. Niestety, stwierdził, że Balkirk już jego kryjówkę odkrył i ową notatkę zabrał. Co miał czynić nieszczęśliwy Soames, który wiedział dobrze, że tajemnica jego dostaje się w ręce niepowołane?

Soames, wielki patriota, pobiegł na miejsce, właśnie na ową pustą uliczkę ze składami i koło siódmego zamka, do którego pasowała jego gwiazda — włączył kabel elektryczny.

— Balkirk padł ofiarą próby zawładnięcia tajemnicą kapitana Sharka...

Czuje ucho detektywa dosłyszało w tej chwili poprzez obite materacem drzwi kroki na korytarzu. Dickson zamilkł. Drzwi się istotnie po chwili otworzyły i stanął w nich Mr. Farkar.

— Przerwałem panom, — rzekł szef. — Proszę sobie nie przeszkadzać. Chętnie sam posłucham... Bardzo proszę...

Dickson podjął tedy:

— Soames, wielki patriota, pobiegł na miejsce, włączył kabel i Balkirk padł ofiarą tych środków obronnych.

Mr. Farkar zlekka kiwnął głową.

— Ale Soames przeraził się skutków swego czynu. Zdał sobie sprawę, że przecież Balkirk może być zaledwie pierwszą w całym orszaku ofiar. I aby kres położyć całej tej sprawie, aby raz na zawsze leć urwać tej hydrze — podłożył Soames pod siódmy zamek duży ładunek materiału wybuchowego. W ten sposób tajemnica kapitana Sharka została na zawsze pogrzebana. Przestała istnieć, jak wspominałem!

— Dlaczego Soames nie skontaktował się z pozostałymi sześciu posiadaczami gwiazd?

— Nie skontaktował się, Tomku, z nimi dla tego, że — jak ci już mówiłem — nie chciał by, aby owa tajemnica dostała się do rąk wrogów naszego kraju. Bo Soames był i jest wielkim patriotą.

Mr. Farkar westchnął głęboko i zwrócił się do detektywa.

— Wszystko, co pan mówi, jest zadziwiająco słuszne. Obecnie, gdy owa tajemnica już nie istnieje, wolno mi się z panami nią podzielić.

Podczas swych dalekich wypraw zdołał Shark odkryć niezwykle wydajną kopalnię diamentów. Ołbrzymie kamienie wielkości i wspaniałości nieznanie zupełnie stały się własnością tego niezwykłego awanturnika. Shark wiedział, że gdyby je odrazu rzucił na rynek — cena ich spadłaby gwałtownie. Oznaczałoby to równocześnie niemal klęskę całej gałęzi naszego życia gospodarczego. Kopalnie diamentów są jednym z bogactw naszych dominiów, jak panom wiadomo.

Shark ukrył te bajeczne wręcz bogactwa pod ziemią, w miejscu, na którym powstały potem budynki, nie daleko stąd. Uzbroidł wszystko we wspólnie zamki, działające na dystans i uzależnione je-

den od drugiego w ten sposób, że siódmy otworzy się dopiero wówczas, gdy otwarte zostaną wszystkie poprzednie.

Tutaj Tom Wills znów wystąpił ze swymi pytaniami:

— Gdzież byli rzemieślnicy, którzy potrafili sporządzić takie skomplikowane zamki, mistrzu?..

Dickson spojrzał na swego ciekawskiego ucznia z wyrozumiałym uśmiechem:

— Czy wiesz, mój drogi, że w dawnych czasach, w średniowieczu, gdy nie było jeszcze naszej wspaniałej techniki, która tyle dobrodziejstw i tyle klęsk nam niesie, ręce ludzkie potrafiły dokonać cudów?..

Mr. Farkar dodał w tym miejscu:

— Czy widział pan kiedyś muzeum Cłynu w Paryżu, szczególnie bogate w arcydzieła dawnych mistrzów rzemiosła. Czy był pan również bogatym w dziale tego rodzaju Muzeum Brytyjskim?..

— Cuda, poprostu cuda wychodziły wtedy z rąk ludzi, którzy ani nie posiadali dzisiejszych narzędzi, ani nie znali tak jak my dzisiaj technologii..

— Będę musiał przejść się do Muzeum Brytyjskiego, — rzekł Tom. — Czy znajdzie tam i klucze tego rodzaju jak „Gwiazda Polarna?..“

— Niewątpliwie, zauważył detektyw, a zwracając się do Mr. Farkara dodał: — W dawnych czasach ludzie lubowali się w nazwach i motywach astronomicznych.

— Miało to niewątpliwie wiele wspólnego z astrologią, która wtedy cieszyła się wielkim uznaniem, a astrologowie byli niemal jedynymi przedstawicielami wiedzy.

— Bardzo słusznie, — pochwalił detektyw Toma. — Nazwy tego rodzaju jak Gwiazda Polarna dla kluczy, Hydra dla specjalnych zamków, Koziorożec i inne znaki zodiaka — były na porządku dziennym.

Następnie chwila ciszy.

— Jeszcze tylko pozostaje do wyjaśnienia rola Lady Fields i Dr. Carstona, — rzekł nieśmiało Tom Wills.

— Byli to szpiegowie, — rzekł Dickson.

— Ale dla kogo działali?

Mr. Farkar zbliżył się do swych rozmówców i począł szeptem.

— O tych sprawach nie należy mówić głośno. Według danych, jakie uzyskaliśmy z Intelligence Service, Lady Fields była na usługach wywiadu niemieckiego. Dobrze się stało, że udało się ją zdemaskować. Nie był to szpieg wojskowy w całym tego słowa znaczeniu, ale raczej gospodarczy. Zadaniem jej było dostarczenie informacji z dziedziny przemysłu, kopiowanie wzorów, nalepienie recept, które są nieraz tajemnicą mocno strzeżoną szczególnie w przemyśle chemicznym, zdobywanie planów schronowych podziemnych nawet i t. d.

— A Dr. Carston?

— Ten człowiek to szczególny typ wykończona. Odebrał staranne wykształcenie. Studiował w Oksfordzie i ma jeszcze ciągle wielkie zdolności jako chirurg. Ale niestety namiętnością jego były wyścigi. Nie mógł żyć bez hazardu. A że w Anglii wyścigi są zabronione jeździł do Francji zwłaszcza i tam się... Zgrywał. Tam właśnie został swerbowany dla wywiadu sowieckiego.

Znów nastąpiła w gabinecie wysokiego urzędnika Ministerstwa chwila ciszy

Skorzystal z niej Dickson i dziękując Mr. Farkarowi za pomoc — pożegnał się z nim serdecznie.

To też Soames dobrze uczynił, że wysadził w powietrze te skarby ukryte. Dziś zalały się wody Tamizy, dziś wdarły się tam ścieki uliczne i tajemnicę kapitana Sharka pochłoneła ziemia.

Mr. Farkar zamilkł.

Słychać było sapanie Goodfielda, który z powodu swej tuszy miał trochę krótki oddech.

— Wszystko to jest rzeczywiście bardzo ciekawe, — rzekł intendent, — ale gdzie się podziwa ów Soames?

— Jeszcze wam nie powiedziałem? — rzekł detektyw z uśmiechem. — Otóż prawdziwe nazwisko Mr. Soamesa brzmi... Farkar.

Szef pierwszego wydziału uśmiechnął się również i nie przeczył temu.

Wyjaśnienie

Mr. Farkar — jak łatwo się domyśleć — był również jednym z wyższych dygnitarzy Intelligence Service. Pod jego właściwym nazwiskiem Soamesa — nie znał go nikt prócz ministra.

Właśnie minister zezwolił mu na pobyt w więzieniu, gdzie oczywista nikt nie wiedział kim jest ów grzeczny i tak dobrze się sprawujący więzień.

Szczegóły dalsze tej sprawy należą już do tajemnic państwowych których i Harry Dickson nie zna. Lady Fields i Dr. Carston zostali oddani pod sąd.

Pozostałych czterech posiadaczy gwiazd nie można było o nic oskarżyć. Zostali jednak wydani z granic Wielkiej Brytanii.

Koniec

Następny **Nr. 36 Harry Dicksona**,
który ukaże się we wtorek, dn. 13-gowrześnia
zawierać będzie przygodę pod tytułem:

KWADRATOWE OKNO

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się, w niezrównanej jego sztuce przebierania się, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją twarzą, swym głosem, a nawet swym wzrostem** — tkwi widocznie tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą, jego oko przenika to, co jest najskrytszego, ruchliwość jego umysłu pozwala mu się wywikłać z najmniej bezpiecznej sytuacji, spryt jego kombinacji rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej prowadzą go zawsze do pożądanego celu.**

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|-------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 18. CZERWONA DAMA |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 19. MIASTO PIRATÓW |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 20. POSTRACH LONDYNU |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 21. TAJEMNICA ŁODZI PODWODNEJ |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 22. NIEBIESKI BOCIAN |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO. |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ | 24. HAWAJSKI SZTYLET. |
| 8. „KRÓL NOCY“ | 25. WOSKOWE JABŁKO |
| 9. „POSEPNA KABALA“ | 26. WIELKA GRA. |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ | 27. HOTEL EMIGRANTÓW. |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ | 28. KRWAWY KLEJNOT |
| 12. „KAPIANKA OGIA“. | 29. SZTUCZNE ZŁOTO. |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY | 30. CZARNY MŚCICIEL. |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA | 31. KSIEŻYC BIRMAŃSKI. |
| 15. WIDMO TUŁACZA | 32. POŻAR W MIASTECZKU. |
| 16. SKRADZIONY TESTAMENT | 33. ZŁOWIESZCZY ŚNIEG. |
| 17. DUCH ŚWIATŁA | 34. WILKOŁAK. |

Czytajcie

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

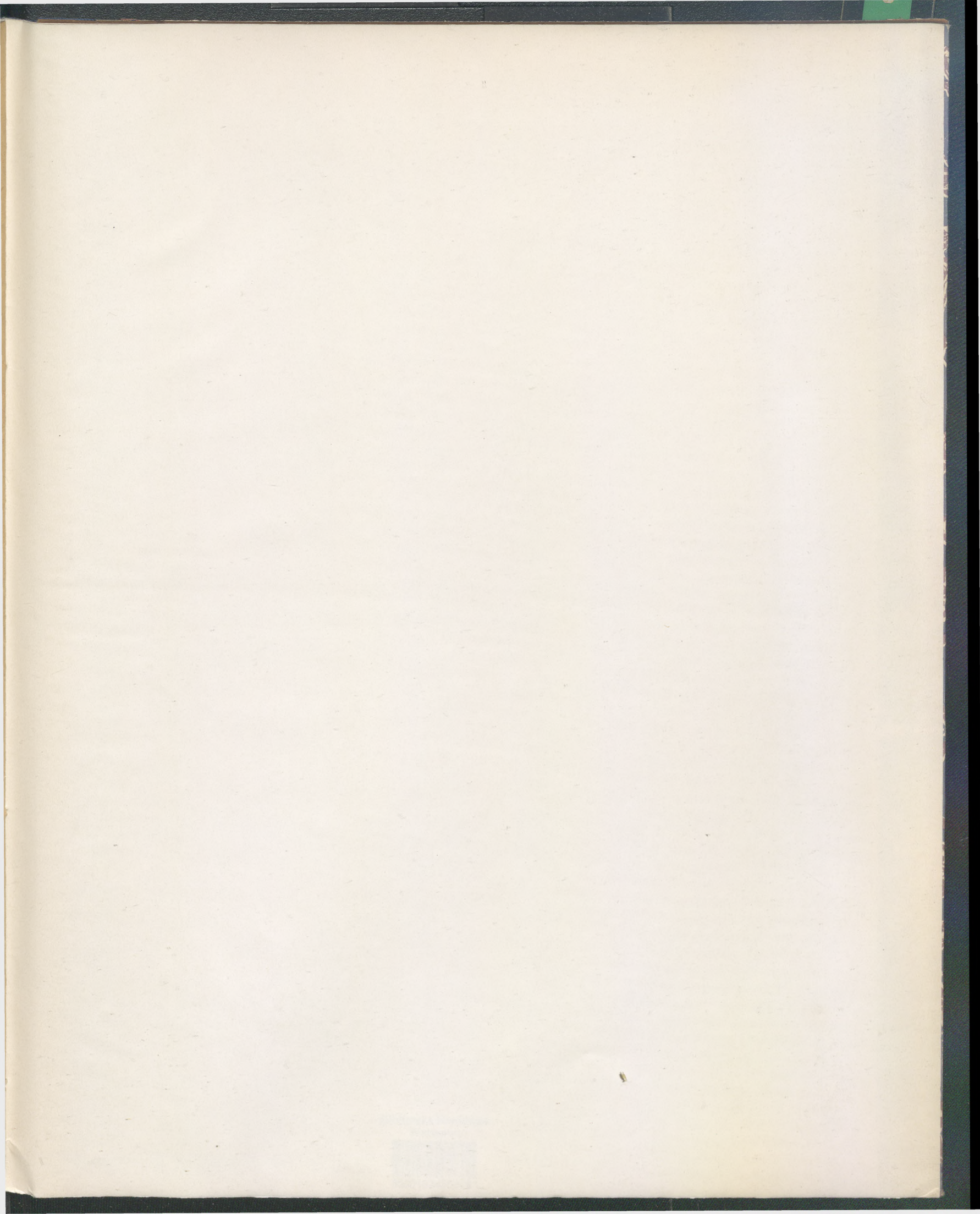
Co tydzień ukazuje się jeden ze-

Cena

10 gr.

szyt, stanowiący oddzielną całość

10 gr.



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024366081



2d1

623405

35

